Rok 1939 2 kwietnia Nr. 14

DZWONECZEK

pod redakcją ELI OLESKIEJ



Z rozmyślań wielkotygodniowych

Wieczerza Pańska... Wszyscy apostołowie przy Chrystusie, przy Mistrzu ukochanym, od którego trudno im się oderwać. Tylko jeden z nich patrzy z ubocza.

Komu obce jest imię Judasza? Niestety, zna go cały świat. Jego nieszczęsna sława dotarła wszędzie. Wiemy, kim był. Jednym z dwunastu **wybranych**. A wybrany przez Człowieka największej dobroci, najpłomienniejszej miłości, największej świętości — przez Człowieka, który był jednocześnie Bogiem.

Jak strasznie bolesną musiała być dla Chrystusa ciągła jego przy Nim obecność, każde przecież spojrzenie Zbawiciela na tego ucznia, przypominało Mu to, czego od niego dozna. Boć Pan wiedział o wszystkim, co kryło się dla innych za zasłoną przyszłości. Wiedział, że dzień po dniu, godzina po godzinie przybliża się czas Jego okrutnej męki i śmierci na krzyżu. Wiedział więc i o zrodzić się mającej w sercu Judasza zdradzie. Nie odpędził go jednak od Siebie, pozwala mu wspólnie z wszystkimi żyć przy Sobie, przysłuchiwać się naukom, po których niezliczone rzesze całują Jego szaty, pragnąc Go mieć swym królem. O serce Judasza jednak odbija się wszystko napróżno. Myśl jego zajęta była tylko sprawami ziemskimi. Chciał też Jezusa widzieć królem, ale dlatego, że spodziewał się przy tym i dla siebie bogactwa. Tak powoli dojrzewa w nim zdrada.

Nadeszła wreszcie pora ostatniej wieczerzy. Chrystus nie wzdryga się umoczyć chleb we wspólnej misie ze zdrajcą, poczem błogosławi chleb i łamie i karmi nim uczniów jako Swoim własnym Ciałem i Krwią Przenajświętszą.

. . . .

Jezu! Tak samo karmisz i nas po dzień dzisiejszy! Przepuść, daruj grze-

chy nasze, którymi Cię — podobnie jak Judasz nieszczęsny — zdradzamy, podobnie jak on, oddajemy wieczyście na mękę krzyżową! Ocal nas od ślepoty judaszowej, daj nam moc wiary i moc wierności, która nam nigdy nie pozwoli odstąpić od Ciebie. Twoimi tylko być chcemy, boś Ty sam przecie wybrał nas w dobroci Swej nieskończonej. Pójdziemy za Tobą wszędzie, bo Ty Droga jedyna i Żywot wiekuisty.

——oOo——

Obmyjcie swe wargi...

Poza kłamstwem, o którym pisaliśmy ostatnio, bardzo częstym towarzyszem, zwłaszcza chłopców, jest stałe używanie słów nieprzyzwoitych, a przynajmniej nieodpowiednich. Spróbujcie jeno kiedy, młodziutcy czytelnicy „Dzwoneczka", stać się niewidzialnym świadkiem najzwyklejszej zabawy swoich rówieśników. Gdy sami bierzecie w niej udział, wtedy wiele rzeczy uchodzi waszej uwagi: zainteresowanie tylko zabawą, ruch, gwar, staranie się wyprzedzenia we wszystkim swoich towarzyszy, pobicia ich, chęć pokazania swojej siły, zręczności i t. d., to wszystko zasłania wam oczy i zatyka uszy. Zresztą wy sami zachowujecie się podobnie, jak oni, nic was przeto w nich nie razi. Ale gdy zwróci wam się uwagę, wtedy taka obserwacja bawiących się kolegów stanie się dla was bardzo pożyteczna.

A zatem stańmy sobie tak, by przed bawiącymi się np. w piłkę chłopcami zasłaniały nas jakieś krzaki, budynek, czy coś podobnego, albo zupełnie jawnie, siadłszy sobie opodal na trawie patrzmy i słuchajmy.

Zabawa wre. Chłopcy zdyszani, zziajani, zrzucają po kolei wierzchnie okrycia. Oczy roziskrzone śledzą lot piłki. W jakimkolwiek kierunku poleci rzucona czy kopnięta, wzbudza gwałtowne ruchy wszystkich graczy. Jednemu ten rzut dogadza, drugiemu nie, ten zdąży piłkę odbić, tamtego inny ubiegnie, ten się potknie i przewróci, tamten z tego powodu utraci możność dobrego podbicia i t. d. i t. d. A jakie przy tym wykrzyki! Jak bez zająknienia powtarzają co chwilę czyjeś usta chłopięce jedno i to samo słowo prostackie, wstrętne, może nawet bez właściwej treści, nie mające najmniejszego związku z zabawą — ot, rzucane bezmyślnie, jedynie dlatego, że posługują się nim inni, jacyś ulicznicy, nawet dorośli, a przecież każdy z tych grających w futbal chce pokazać, że i on nie jest już dzieckiem „głupim" szkrabem, smykiem, smarkatym, czy jak się tam jeszcze nazywa.

I dzieje się potem często, że takie brudne, ohydne słowo tak się mocno przylepi do młodych warg chłopca, iż się już od nich nie da odlepić. Jakby się w nie wpiło korzeniem niby ziarno w ziemię urodzajną, jakby wraz z tymi młodymi wargami rosło, mężniało... Jeno że później, gdy chłopiec w młodzieńca się przekształci, w mężczyznę, owo „głupie" niegdyś, bezmyślne słowo, rozwiera swoje wnętrze i karmi swego hodowcę niechlujną treścią, od której się już odzwyczaić nie może.

A przecież te usta chłopięce jakże często wspólnie z kapłanem odmawiają słowa Mszy świętej, Ofiary Najczystszej, najniewinniejszej — czyż wolno im się zatem kalać takim brudem? A choćby nie byli ministrantami, to przecież przystępują do Stołu Pańskiego, przy którym spożywają Pokarm najświętszy, najbielszy...

Toż póki pora najlepsza Postu Wielkiego, tego czasu poprawy, podniesienia, doskonalenia się, wy wszyscy młodzi czytelnicy dzwonkowi, obmyjcie swe wargi z wszelkiego brudu, wyrwijcie z korzeniem nieczyste ziarnko, jakie się na nich przyjęło, abyście w niedzielę palmową czystymi usty sławić mogli wstępującego w mury Jerozolimy Jezusa radosnym okrzykiem Hosanna! Hosanna!

———oOo———

Walka z zieloną mambą

Jak wiadomo, kraje gorące są ojczyzną wszelakich węży, przeważnie jadowitych. Afryka południowa ma też taką swoją plagę w postaci mamby, węża o barwie czarnej lub zielonej, którego murzyni obsypali różnymi przezwiskami, jak „żywa śmierć“, „latający diabeł“ i in. Od wieków gad ten szerzy spustoszenie wśród ludności tamtejszej, która nigdy nie wie, skąd zagraża jej zguba.

Do niedawna jeszcze na ukąszenie tego węża nie było ratunku. Dopiero uczonemu angielskiemu, nazwiskiem Fitzsimons, udało się wynaleźć środek (tak zwane w nauce „serum“), które unieszkodliwia jad, jaki przez ukąszenie mamby przedostaje się do krwi ludzkiej. Wielu ludziom uratowało już ono życie.

Fitzsimons przybył do Afryki jako młody asystent i już wtedy postanowił zbadać właściwości jadu mamby. Trzeba było jednak gada schwytać, by móc robić doświadczenia. Młody uczony nie wierzył krajowcom, gdy go zapewniali, że jest to rzeczą bardzo trudną i niebezpieczną i jak najrychlej dążył do urządzenia wyprawy na „latającego diabla“, który właśnie wybrał sobie na ofiarę jedną z wiosek murzyńskich.

Schwytanie mamby, która dochodzi do półczwarta metra długości, możliwe jest tylko przy pomocy licznych naganiaczy. W wyprawie wziął udział sam uczony oraz dwustu Murzynów z nagonki. W pewnej chwili rozdarł powietrze straszliwy krzyk, okazało się bowiem, że wąż ukąsił jednego z naganiaczy. Wówczas młody lekarz - podróżnik wycelował w gada i uśmiercił go potężną porcją śrutu w głowę.

Wielka radość zapanowała w biednej wiosce murzyńskiej na tę wieść niespodziewaną. Jednak jeden z plantatorów (osadników rolnych), który zabrał sobie do domu zabitego gada, wpadl na nieszczęsny pomysł: położył zabitego węża w pokoju na łóżku i posłał młodą żonę by mu stamtąd przyniosła pudełko z tytoniem, sam zaś z przyjaciółmi czekał na werandzie, zawczasu śmiejąc się z przestrachu kobiety, gdy ujrzy straszliwego gada. Mijały jednakże chwile, a żona ani nie wracała, ani żadnym okrzykiem nie zdradzała swego przerażenia. Zaniepokojeni mężczyźni pobiegli do pokoju, gdzie przy łóżku znaleźli już nieżywą kobietę, a przy niej zwiniętą w kłębek mambę, jeszcze większą od zabitej. Okazało się, że niepostrzeżenie do ciała zabitego, przypełznął drugi wąż, co się często tam zdarza i w chwili zbliżenia się kobiety, ukąsił ją śmiertelnie.

Zieloną mambę nazywają murzyni „zieloną śmiercią“. Zwisają te gady zwykle z gałęzi drzew, podobne zupełnie do ljan (rośliny pnące) z powodu jednakiej z nimi barwy. Kiedy zbliży się ofiara, wówczas mamba błyskawicznym rzutem spada na nią i ukąsiwszy, zatruwa śmiertelnie jadem. Sam uczony omal nie stał się pastwą okropnego gada w czasie jednej ze swych samotnych wędrówek po afrykańskiej puszczy. Ocalił go wtedy jego nieodstępny towarzysz, mały piesek, który widząc zsuwającego się węża, z rozpaczliwym szczekaniem rzucił się na niego. Oczywiście nie sprostał w walce i ukąszony przez mambę, zginął niemal od razu. Ta chwila wystarczyła lekarzowi do obrony. Cofnął się przed napastnikiem i celnym strzałem rozbił mu głowę.

Niezmordowany w swej pracy dla wynalezienia odpowiedniego lekarstwa przeciw ukąszeniu „zielonej śmierci“, Fitzsimons spędził 20 lat w wężowej krainie. Trud jego został wreszcie uwieńczony zwycięstwem. Wrócił więc do Anglii i wygłosił tam mnóstwo odczytów o mambie i jej śmiertelnym jadzie, na który wynalazł skuteczny środek.

Wkrótce w angielskich ogrodach zoologicznych pojawił się sprowadzony z południowej Afryki gad niebezpieczny, przed którym oczywiście starannie zabezpieczono zwiedzających zoo ludzi. Zdarzyło się jednak, że jeden z pracow-

ników ogrodu zoologicznego w mieście Glasgow, wskutek własnej nieostrożności został przez gada ukąszonym. Jedynie „serum“, wynalezione przez Fitzsimonsa mogło ocalić go od śmierci. Od Londynu jednak, gdzie tylko można było go otrzymać, dzieliła miasto Glasgow przestrzeń 400 km. Na skutek telegramu, autem wyścigowym, które jechało z niesłychaną szybkością, (lotnictwo jeszcze wówczas nie było udoskonalone) przywieziono z Londynu zbawcze lekarstwo i dokonano zastrzyku, który ocalił człowieka. Parominutowe jeszcze opóźnienie nie byłoby już nic zdziałało.

Tak to na wszystkich polach nauki pracują uczeni dla dobra ludzkości.

———oOo———

Patrol Lwów

Powieść z życia obozowego pierwszych skautów polskich z r. 1912.

Napisał Kazimierz Kalinowski. — (Ciąg dalszy)

Gdy wszystko było gotowe, jeden z nich ujął ową drugą poprzeczkę ruchomą i raz za razem podnosił powoli i obniżał miarowo, gdy inni kładli warstwy trawy, paproci i cieniutkich gałązek, na przemian to powyżej, to znów poniżej poziomych sznurków. W ten sposób powstawała mata wyśmienita na materac pod szałasem.

Czas pracy uprzyjemniano sobie oczywiście śpiewem. Bolek zagwizdał melodię ludową, a Janek zanucił własne słowa, które miały się stać ulubioną ich pieśnią obozową:

Nie ma życia, jak w obozie,
Gdy niebo nad nami:
Na upale, czy na mrozie,
Byle pod gwiazdami;
Byle nam zagrały drzewa,
Gdy wicher zaśpiewa...

A właśnie wiatr jął szumieć w boru dziwne pieśni, drzewa drzewom podawały coraz dalsze strofy... Janusz zasłuchał się w gędźbę leśną i po chwili zaśpiewał drugą zwrotkę, z zapałem przez druhów powtarzaną chórem:

Nie ma życia dla rycerzy.
Jeno przy sztandarze;
Lecz nie w huku salw z moździerzy.
W obozowym gwarze:
W sercu swym rycerz prawdziwy
Nosi sztandar żywy!

* * *

Nikt się nie spostrzegł kiedy zmrok zaskoczył ich przy pracy. Śpieszno im było wykończyć choćby to wszystko, co uznali za najpilniejsze i czego na jutro nie należało odkładać. To też nie chcąc czasu tracić, posilili się parę razy zapasami, jakie mieli, nie zabierając się wcale do gotowania.

Zapowiadali sobie, że wieczorem rozniecą ognisko i zrobią herbatę. Ale, kiedy się na dobre zmierzchać zaczęło, cała gromadka doznała jednego uczucia: że pragnie spać, tylko spać.

Obóz mieli gotów o tyle, że było gdzie i na czym przenocować, choćby noc zimna miała — sądząc po chmurnym niebie, — przynieść deszcz, bez którego obyło się jakoś szczęśliwie podczas prac przygotowawczych.

Można było zatem porzucić wszystko i oddać się zasłużonemu spoczynkowi, by móc nazajutrz z nowym zasobem sił powrócić do wykończenia prac zamierzonych.

Wprawdzie Zawisza przyrzekł sobie, że pierwszy wieczór w obozie spędzą bardzo uroczyście, że dokoła ogniska zasiądą przed namiotami zielonymi, a on jako dowódca — czy też, jak wołał się sam nazywać, chorąży ich oddziału — powie słowo gorące o tym, po co tu przybyli, w jakim celu zbudowali sobie obóz leśny na podlaskim odludziu. Aliści pospołu z innymi sam naczelnik czuł się tak znużony i od zapadania zmroku tak musiał walczyć z sennością, że zaniechał wszystkiego i oznajmił całemu zastępowi, że na razie idą spać, odkładając na później uroczystość inauguracyjną, gdy cały obóz będzie wykończony ostatecznie, oni sami zaś wypoczęci do syta. (C. d. n.).